

Minęła kolejna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Jest okazja by przypomnieć czytelnikom wspomnienia o działalności peowiaków z Kąkolewnicy wójta gminy Antoniego Mazura, które ukazały się w „Gazecie Radzyńskiej” nr 5, z dnia 19.03.1935 r. (zachowano ówczesny język przekazu):

„Chcąc dowiedzieć się o tem, jak komendant oddziaływał swą niezwykłą indywidualnością na młodych, którzy go nie znali, w czasach największego ucisku pruskiego buta, w czasach okupacji, jedziemy do Kąkolewnicy, aby się czegoś dowiedzieć o tym najważniejszym ośrodku peowiackim, który odegrał tak wielką rolę na terenie naszego powiatu w wypadkach listopadowych.

Zwracamy się naturalnie, do pana wójta Antoniego Mazura, który okazuje się, nie tylko wie o tych sprawach, ale brał najbardziej czynny udział w POW, a nawet w bojówce peowiackiej.

Chętnie zaczyna snuć swą, jakże ciekawą opowieść.

Ucisk za okupacji niemieckiej.

Były to straszne czasy. Rok 1915-1918. Powiat nasz należał do t. zw. etapów, tzn. był tu zarząd wojskowy. Komendantura wojskowa znajdowała się w Białej Podl., w Radzyniu i Międzyrzeczu były filie komendantury; na każdej wsi urzędował niemiecki żołnierz, który musiał ze wsi dotrzeć do najbliższej komendy gospodarczej z określoną ilością mleka, jaj, mięsa, tłuszczów.

Każda kura była policzona i musiała Niemcom znieść tyle to jaj, każda krowa musiała dać tyle to mleka, choćby dzieci gospodarza marły z głodu. Za zabicie świni każdy był aresztowany. Po 9.00 wieczór nikt nie mógł się pokazać, bo mógł być zastrzelony.

Za przejście z granic jednej komendantury do drugiej groziło aresztowanie, np. z Lipniak do Wierzchowin, lub z Niewęgłosza do Suchowoli, a przepustka kosztowała 5 rb. złotem carskiem.

O tem, co się działo u nas, nie mają pojęcia ci, co mieszkali pod rządem generał-gubenera w Warszawie lub Lublinie.

Do czego dochodziła buta niemiecka niech świadczy fakt, że rozlepili drukowane ogłoszenia, że każdy cywil musi zdjąć czapkę przy spotkaniu z niemieckim oficerem.

Gospodarz nie orientujący się w szarżach zdejmował pokornie czapkę przed każdym żołnierzem cesarza Wilhelma.

Takie to były czasy!

Brakło im ludzi do pracy w kopalniach niemieckich, to dosłownie łapali o zmroku ludzi młodych, jak dziś hycel łapie psy, ciągnęli do komendantury i, jeżeli rodzina nie wykupywała złotem, to wieźli bez pożegnania się z rodziną w głąb Niemiec do robót przymusowych. Wierzyć się nie chce, że wszystko to wytrzymaliśmy. Każdy zaciskał pięści, ale strach taki siadł w duszach ludzkich, taki zły lęk, lęk oślizgły, co odbiera siłę.

W takich to czasach do nas młodych w Kąkolewnicy w 1916 r. zawitał raz tajemniczy gość, kazał się nazywać „Ukraina”. Teraz wiem, że to był por. Olszański.

Początki organizowania się

My młodzi w Kąkolewnicy to już zaczęliśmy się organizować w różne związki już w 1915r., kiedy jeszcze twardą nogą stał Moskał. Założyliśmy sobie u Stefańskiego bibliotekę i zbieraliśmy się radzić, jak tu pomóc ojczyźnie.

Ks. Kozłowski nas ostrzegł, bo dobrze znał naczelnika powiatu, że chcą nas za to aresztować. Jakoś nie zdążyli. Przyszła pozycja Niemcy. Znow nas zbiera p. Wincenty Prejzner, nauczyciel w Kąkolewnicy, skupiamy się w kółkach dramatycznych. Gramy „Chatę za wsią” i inne sztuki. Rozwija nas to i skupia. Pan Prejzner urządza kursy wieczorowe.

Na jeden z takich kursów przybył tajemniczy emisariusz POW. Zabrania wspominać o tem w domu. Nie podaje swego nazwiska. Mówi dużo o brygadierze Piłsudskim, o kochanym komendancie, o tem, że trzeba się zabrać do wypędzenia Niemców.

Chłopacy chłoną każde słowo. Tajemniczość podnieca. Rośnie nadzieja, że ktoś, że jest Wódz, który nie zapomniał o gnębionym Narodzie, że jest się o co oprzeć, że można myśleć o odwecie za straszną okupację Niemców, za zabijanie bezbronnych kobiet, za odbieranie ostatniej krowy, ostatniej kropli mleka.

Zawijujemy oddział POW. Przystępuję ja, Dzida, Kubalski, Okrasa, Zalewski, Kłos (który później wystąpił) i inni.

Praca w POW

Zbieramy się na ćwiczenia 2 razy tygodniowo. Cóż to były za cudowne zbiórki! Jakże łatwo było się skrzyknąć z całej Kąkolewnicy w ciągu pół godziny. Jak porównam z tem dzisiejsze choćby zbiórki Związku Strzeleckiego, to mi się płakać chce! Zbieraliśmy się najczęściej w uroczyskach pod Wygnanką: Jesionowa i Rybczyn.

Instruktorzy przychodzili nas ćwiczyć Skolasiński i Oniszczyk z Białki, a zebrania, na które przybywali z władz wyższych Reszke, Pytel i Zbarski odbywały się u Pawlikowskiego

na tzw. Pieńkach, tj. Kolonia Kąkolewnica, dziś Zosinowo. Broń była najróżniejsza. Skąd kto mógł, to ciągnął. Mieliśmy, pamiętam, 15 karabinów austriackich, a amunicji nie brakowało po przejściu pozycji w każdej chacie.

Pamiętam, raz nazbierali skądś Niemcy pełno karabinów i musieli odwozić je do Międzyrzeca. Był już mrok jak przyjechaliśmy do Kąkolewnicy. Konie musiały popaść się.

Zdejmując obrok dla koni, wyciągnąłem nic nie przeczuwającym Niemcom, którzy się poszli ogrzać, tyle karabinów z wozu, ile tylko mogłem udźwignąć. Cóż to była za radość, jak nie domyślili się, że im brakuje! A oddział POW znacznie wzmocnił swoje uzbrojenie.

Raz znów pamiętam, jak ćwiczymy sobie spokojnie w Jesionowej. Wtem placówka daje znać, że do lasu dojeżdża żandarm niemiecki na koniu z psem. Serca chłopców ścisnęła zimny strach. Pobledli. Niemiec, nic nie przeczuwając, wolno się zbliża. Już jeden z naszych nie wytrzymał i „dał dęba”, aż znalazł się w domu dopiero po dwóch dniach. Śmiechu późniejszy mieli co niemiara z niego. Ot dzieciuch, co mu tu z Niemcem wojować! Niech sobie siedzi w domu!

Ale myśmy się od razu opanowali. Pada rozkaz skryć się. Gdyby pies wywęszył, a Niemiec zobaczył nas z bronią, to już żywcem go z Jesionowej nie wypuścimy! Chwila denerwującego oczekiwania. Wtem żandarm, z przyczyny, której nie umiemy sobie do dziś wytłumaczyć - zawraca.

Przysięga

Na wiosnę 1918 r. otrzymujemy rozkaz stawić się do przysięgi w lasach zbulitowskich. Idziemy nocą. Oddziały przychodzą, składają przysięgę i odchodzą. Świt. Przychodzi na nas kolej. Ksiądz Karol Wajszczuk odbiera od nas przysięgę. Krótka przemowa księdza i wzruszeni odchodzimy, by dać miejsce nowemu oddziałowi.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to przysięgali: Mitura, Król, Miazga, Jezierski, Sokół, Salach, Pawlikowski, Ładny, Pałczak, Tomasz Majczyna, Franciszek Majczyna, Lewczuk, Gałęcki, Okrasa, Zalewski, Jędruszczak, Kominko.

Imieniny Komendanta

Na 19 marca zawsze były zbiórki u Pawlikowskiego. Pamiętam, jak Ukraina-Olszański mówił, że Niemcy Dziadka ułapili i trzymają w Magdeburgu, ale z Jego rozkazu oni wszyscy z narażeniem życia, bo Niemcy złapanego peowiaka rozstrzelowali, organizują tych, którzy mają tworzyć kadry armii, bo wolna Polska już idzie, już jest blisko.

I tak mi się dziwne już wówczas zdawało, że ot, nie widzieliśmy nigdy tego

Piłsudskiego, siedzi zamknięty, a rządzi. Już wtedy pojąłem, że człowiek to o sile nadludzkiej. Nie przypuszczałem wtedy, że w wolnej Ojczyźnie, jako wójt gminy, będę organizował obchody imieninowe Tego, którego tak my, peowiacy, kochaliśmy, a który wywiera ciągle ten sam wpływ na losy Narodu.

Warto by tu podkreślić, że już w owych czasach wbrew zakazom władz niemieckich samorzutnie urządziliśmy obchody imienin Komendanta, a ta tradycja peowiacka przeniosła się i w czasy dzisiejsze.

Przybywa nam broni i instruktorów. Pracują z nami Roman i Edmund Makowscy, zamieszkali w lesie u Kubeckiego.

Bojówka

Pytel w największej tajemnicy nawet przed peowiakami tworzy bojówkę, do której dobiera sobie mnie i Edmunda Jędruszczaka. Mieliśmy wykonywać wyroki śmierci na tych Niemców, którzy specjalnie znęcali się nad bezbronnymi.

Ciężka to była misja, bo nie walka wręcz, a z zasadzki. Czuję do dziś pewien niesmak, pewne jakieś przykre uczucie, bo to tak przeciwne naturze prawdziwego żołnierza. Ale rozkaz! Zresztą pomyślałem sobie, że w czasach zupełnej bezbronności ze strony siepaczy i zupełnego lęku i braku odruchu ze strony uciskanych, bojówka była konieczna: ostrzegała katów, że jest ktoś co czuwa, podnosiła na duchu bezbronną ludność.

Otrzymaliśmy nowiutkie „sztajery” austrijackie. O naszej roli nikt z kolegów nawet nie wiedział.

Niebawem przyszła okazja.

W maju 1918 r. aresztowany Zahajkiewicz, peowiak, uzbrojony, zacinający się bębnekowy rewolwer, którego mu Niemcy nie zabrali przy aresztowaniu, w drodze między Szóstką a Wólką Łóżecką, strzela do eskortującego Niemca, rani go, drugi zaś Niemiec przerażony ucieka.

Tu muszę stwierdzić, że Zahajkiewicz działał wbrew rozkazowi POW, wbrew intencjom Pytla. Pytel nie pozwalał Zahajkiewiczowi chodzić do Szóstki i niejako włączyć Niemcom w łapy, a już zamachy bez rozkazu były zabronione, aby nie narażać ludności, gdyż Niemcy ogłosili, że o ile będzie zamach na niemieckiego żołnierza, to wsie w promieniu 3 km od miejsca zamachu będą obłożone kontrybucją w wysokości 10 000 marek.

Zahajkiewicz był odważny, był dobrym patriotą, ale nieco za gorący.

Ujęty w jakiś czas po zamachu miał być stracony w Międzyrzeczu. Otrzymaliśmy

rozkaz, żeby wykonać zamach na żandarmów, których w dzień rozstrzelania ściągano z Radzynia i innych okolic do Międzyrzecza jako wzmocnioną asystę przy egzekucji.

Udajemy się z Pytlem i Oniszczukiem w przeddzień egzekucji do Międzyrzecza. Staramy się nawiązać kontakt z uwięzionym Zahajkiewiczem. Rzucił nam przez zakratowane okienko kartkę, w której zapewnia, że umrze odważnie, ale prosi, żeby go pomścić. Nasza bezsilność uratowania młodego życia doprowadza nas do rozpaczki i do wściekłości zarazem. Udaje się nam jeszcze powiadomić go, że zanim on padnie, ktoś z jego siepaczy paść musi.

Tejże nocy udajemy się na czaty od lasu między Kąkolewnicą, a Międzyrzecem do t. zw. Jałowców.

Jest nas trzech uzbrojonych. Pytel, ja i Oniszczuk. Co będzie, jak żandarmi będą jechać razem? Czekamy. Zaczyna świtać. Gdyby nie myśl piekąca, że ot kolega Zahajkiewicz widzi ten świt po raz ostatni, to nie wiem, czy wykonując pierwszy rozkaz, mógłbym wytrzymać mękę oczekiwania na tych, którzy albo zastrzelą albo nas ujmą. Wówczas podzielilibyśmy los tego, który oczekuje swej najstraszniejszej chwili.

Wtem z daleka słyhać tętent. Serca zaczynają bić szybciej, szybciej, niż podkowy konia po twardej szosie. Mamy szczęście: jedzie jeden żandarm!

Pytel był świetnym strzelcem. Pada strzał - i Niemiec zwala się z konia martwy. Napięcie nerwów pęka. Łapiemy spłoszonego konia. Pytel go dosiada i lasami odprowadza do Łukowa. Trupa szybko wciągamy w zarośla. Jest godzina 5.00 rano. Zahajkiewicz już został pomszczony.

Rozstrzelanie Zahajkiewicza

Udajemy się znów do Międzyrzecza, aby jeszcze raz zobaczyć tego, który dziś zginie za to, że był w POW.

Na miejscu stracenia, obok nieistniejącego dziś młyna, przy wiatrakach niedaleko dzisiejszego sierocińca, już sporo ciekawych. Wstrząsające wrażenie robi ojciec, który przyjechał z trumną w chwili, gdy syn jego żył jeszcze, zdrów i młody... Miał lat 19.

Trumnę tę mieli żandarmi eskortować z powrotem, z Międzyrzecza na cmentarz w Radzyniu.

Było to 21 lipca 1918 r. Józef Zahajkiewicz (pochowany został na cmentarzu parafialnym w Radzyniu Podl.) umarł jak bohater i prawdziwy peowiak. Wprowadzono go w dół i przywiązano do palika. Oczu wiązać nie pozwolił, przed salwą krzyknął: „Już jestem

pomszczony, zginiecie podłe psy, niech żyje Polska” i padł przeszyty kilkoma kulami. Cześć jego świętej pamięci!

Niemcy, nie doliczywszy się jednego żandarma, byli widocznie zdenerwowani. Zaniechali eskorty ciała.

Biedny ojciec wiózł sam zwłoki swego syna, a młoda krew przesączała się przez trumnę, przez słomę wozu i tak męczeńska, święta krew znaczyła drogę od miejsca kaźni do samego Radzyna.

Pamiętam jak peowiaczy z Kąkolewnicy przyszli cicho pożegnać się ze swym bohaterem, gdyż wóz zatrzymał się na chwilę przed domem ludowym w Kąkolewnicy. Po kilkuminutowym postoju na placu utworzyła się kałuża krwi.

Wpatrując się w tę krew przygotowali zemstę. Rozstrzelanie Zahajkiewicza nie wystraszyło chłopców POW, wręcz przeciwnie - wzmocniło szeregi i spoistość organizacji.

Nowa przygoda

Niebawem miałem nową przygodę. Jak wspomniałem, oprócz tajnej pracy peowiackiej prowadziliśmy równoległe pracę jawną w formie kursów i przedstawień. Na jednym z przedstawień deklamowałem coś patriotycznego. Po przedstawieniu podchodzi do mnie tzw. patrolny z Wygnanki i mówi: „Coś ty za jeden, jesteś aresztowany! Już ja cię mam na oku. Zresztą nie bój się! Daj 500 marek i możesz chodzić spokojnie”. Chciałem mu je dać, ale skontaktowałem się z komendantem bojówki Pytlem, który, zważywszy że Niemiec ten był po prostu pijawką dla ludności, postanowił go sprzątnąć.

Zrobiliśmy obaj zasadzkę w nocy w spalonych oborach na Rudniku. Amator marek miał wracać z Kąkolewnicy do Wygnanki. Długo czekaliśmy, dopiero po 12-ej - idzie. Zaświecił latarkę. Poznał mnie. Sięgałem niby po pieniądze. Padł celny strzał Pytla. Niemiec stojący obok mnie zwałił się na ziemię. Pytel zabrał broń i pieniądze. Miał aż 2000 marek, suma na ówczesne czasy bardzo duża. Pieniądze Pytel odsyłał do skarbu POW. Trupa chciałem wrzucić do studni, ale zastanowiliśmy się, że studnia może będzie kiedyś używana. Musieliśmy się długo napracować, żeby go pochować w niedalekim bagienku.

Tymczasem zaczęły się w naszych władzach peowiackich ścierać dwa kierunki. Jeden, aby wstępować do surogatu armii polskiej, tj. do tzw. wermachtu. Inny, żeby prowadzić dalej akcję konspiracyjną. Okręgowy Zbarski namawiał do wermachtu, którego oddziały były w Dęblinie. Ci, co przybyli z armii Dowbora z Bobrujska też byli za tym. Pytel i inni byli przeciwni. Z naszego oddziału nikt nie wstąpił, wszyscy oświadczyli, że zaczekają

na wyraźny rozkaz Dziadka.

Rozbrajanie Niemców

Coraz wyraźniej słyszeć było o niepowodzeniach Niemców we Francji.

Aż tu naraz dowiadujemy się, że wszystkie patrole niemieckie otrzymały rozkaz zwijać placówki i ściągać do Komendantury. Czujemy, że coś się święci.

Nawiązanie łączności z naszymi władzami POW przez Pawlikowskiego jest niemożliwe. Znikąd rozkazu. Zostaliśmy sami. Z konieczności obejmuje akcję w swe ręce p. W. Prejzner i Makowski.

Równocześnie ks. Kozłowski przywozi z Międzyrzeca wiadomość, że dróżnik na przejeździe kolejowym mówił mu, że Niemcy rozkręcają szyny toru prowadzącego w stronę Łukowa.

Ja, Okrasa, Zaleski, Dzida i Kubalski otrzymujemy rozkaz przeszkodzenia w rozkręcaniu szyn. Czujemy, że Niemcy obawiają się przybycia od Łukowa polskich oddziałów. Bierzemy krótką broń i idziemy do przejazdu kolejowego. Jest już noc. Noc z 11 na 12 listopada 1918 r. Szyny rzeczywiście rozkręcone. Dróżnik nie ma śrubokrętu, ale twierdzi, że Niemcy gdzieś zostawili. Szukamy długo. Wreszcie znaleźliśmy i szyny dokręcone. Ale nie odchodzimy, bo dróżnik twierdzi, że były tu już dwie partie Niemców, jedni chcą odkręcać, drudzy nie. Czujemy. Słyszymy, że idą Niemcy. Zobaczyli, że przykręcone i zadowoleni wracają, a niedaleko natrafiają na grupę, która chce szyny rozkręcać. Zaczyna się kłótnia. Niewiele myśląc zaczynamy strzelać na postrach. Niemcy zmykają do Międzyrzeca. Robi się świt.

Chociaż bez rozkazu, ale bierzemy na odwagę i idziemy do Międzyrzeca zaciągając języka.

Wszyscy śpią. W Międzyrzecu organizacji POW nie było. Na rogu przy skręcie do stacji kolejowej widzimy tłum Niemców. Jeden przemawia ze stołu. Prawie wszyscy mają czerwone kokardki. Mówią do nas wesoło: „Wojna kaput”. Za chwilę podjeżdża auto z komendantem Kwappem. Otacza go - jak później dowiedzieliśmy się - delegacja żołnierzy niemieckich z Brześcia, w pełnym uzbrojeniu. Wzywają wiecujących żołnierzy do rozejścia się. Żołnierze ze śmiechem wyciągają Kwappa z limuzyny, wszyscy się na nią pchają i po chwili samochód wygląda jak zgnieciony kapelus. Żołnierze udają się na stację. Gnani ciekawością idziemy też na stację.

Tam odchodzi już ostatni pociąg do Białej. Kto może pcha się do pociągu. Za chwilę

stacja wolna, bez żadnej władzy. Zaczyna się w naszych oczach rabunek bufetu, jakiegoś kramiku ze scyzorykami. Widzimy, że mieszkańcy Międzyrzecza, przeważnie Żydzi, zaczynają już wyciągać chleb i mąkę z piekarni, ten i ów ciągnie nawet krowę z obór zostawionych przez Niemców.

Jest nas pięciu. Czujemy, że musimy coś zrobić. Parę strażów wywołuje niesłychany popłoch, wszystko ucieka. Nakazujemy sołtysowi ze Stołpna rozstawić posterunki przy piekarni i oborach, a sami torem biegniemy do Kąkolewnicy, zanieść wieści.

Tu już spotykamy - **Wolną Polskę**. Nasi bez rozkazu, na własną odpowiedzialność, po prostu intuicyjnie, nie wpuścili skoncentrowanych z okolicy patroli, które nocowały w urzędzie gminnym, a pod wodzą P. Prejznera, Makowskiego, Kominka Wacława - wszystkich Niemców rozbroili. W nasze ręce wpadł duży majątek, między innymi aż 3 auta ciężarowe. Entuzjazm taki, że omal wszyscy płaczą z radości, całują się i ściskają.

Tworzymy Społeczny Komitet Samoobronny z księdzem Kozłowskim i Jędruszcakiem na czele, któremu przekazujemy cały majątek. Donoszą nam, że gospodarze rzucili się ciąć las państwowy. Nasza interwencja zapobiega niszczeniu lasu. I tak pokazało się, że organizacja peowiacka natychmiast wzięła władzę w swe ręce i zapobiegła anarchii i rozkradaniu wielkiego majątku.

Dowiadujemy się, że po walkach i Radzyń już jest wolny. Tylko Międzyrzec coś nas niepokoi.

Wypadki Międzyrzeckie

Na drugi dzień, tj. 13 listopada na butach i oddział konny, (między innymi i P. Leski), w sile 50 ludzi udajemy się do Międzyrzecza pod dowództwem Makowskiego. Na szczęście zastajemy tam już oddział z Zowczakiem na czele, który przybył z Dębina i objął komendę. Jest już i Komitet Samoobronny z p. Jaworskim, pełnomocnikiem hr. Potockiego, na czele. Nie podoba się nam jednak jakiś niewyraźny stosunek do Niemców. Chodzą swobodnie po mieście. Otrzymuję rozkaz rozbrojenia posterunków w okolicach Międzyrzecza.

U Zowczaka tegoż dnia wieczorem odprawa komendantów wszystkich naszych oddziałów. Makowski Roman bierze mnie na odprawę jako swego adiutanta.

Jako naoczny świadek tej odprawy mogę śmiało stwierdzić, że za późniejsze wypadki dużą odpowiedzialność ponosi miejscowy Komitet Samoobronny. Nasz komendant Makowski stanowczo radzi ze względu na to, że w Białej są Niemcy nierozbrojeni, odesłać Niemców natychmiast pieszo do Łukowa i rozstawić posterunki w promieniu 3 km naokoło

Międzyrzecza. P. Jaworski, powołując się na naszą rycerskość i na to, że Niemcy w Międzyrzeczu dobrowolnie złożyli broń, był przeciwnego zdania i radził czekać na pociąg, aby odtransportować Niemców pociągiem do Łukowa. Zajęte stanowisko i zbyt uległość Zowczaka stała się przyczyną tych okropnych zająć, które parę dni później rozegrały się w Międzyrzeczu, a które są opisane w książce: *Z krwawych dni*.

Makowski dotknięty, że go nie usłuchano, nakazał odmarsz i tegoż dnia z samochodami i końmi wróciliśmy do Kąkolewnicy pełnić służbę.

Byliśmy już skoszarowani i czuliśmy się żołnierzami. Parę dni później straszna wiadomość: Niemcy wyrznęli naszych w Międzyrzeczu! Ekspedycja karna! Międzyrzec się pali!

Bitwa pod Rzeczą

Bez wahania idziemy na odsiecz. Prócz naszych są peowiacy z Turowa i Siedlanowa. Oddział liczy 35 piechoty i 8 kawalerzystów. Dowodzi Makowski. Rozkładamy się w okopach austriackich na skraju lasu z obu stron szosy pod Rzeczą: siedmiu z lewej strony szosy, reszta z prawej. Łącznikiem – Lewczuk. Makowski wysłał pana Leskiego konno do Szaniaw, aby ostrzec nasze oddziały od Łukowa, bo Niemcy ustawili karabin maszynowy na spalonym młynie na przejeździe kolejowym.

Mnie i bodaj młodego Kozłowskiego wysłano na zwiady. Widzimy, że karabin maszynowy Niemcy przenoszą z przejazdu do Rzeczy. Międzyrzec się pali i słychać odgłosy wybuchających ręcznych granatów, czasami trzask karabinów. Nie wiemy, czy Niemcy w Rzeczy tylko osłaniają Międzyrzec, czy mają zadanie agresywne. Wracamy do linii, składamy meldunek.

Wraca też i pan Leski z meldunkiem, że w Szaniawach i okolicy żadnych polskich oddziałów nie znalazł.

Zaczajeni w lesie widzimy, że idzie szosa jakiś cywil. Jesteśmy pewni, że to szpieg na zwiady. Pada rozkaz, aby go przepuścić. Przeszedł szosa las, wrócił, za chwilę ukazały się dwa auta, jedno pancerne, drugie ciężarowe pełne uzbrojonych Niemców. Są pewni, że las wolny. Nakazano nie strzelać bez rozkazu. Może na 150 metrów przed lasem na komendę otwieramy ogień. Zamieszanie, Niemcy wyskakują z auta ciężarowego i chowają się za nasyp szosy. Jakiś sanitariusz macha, że chce zabrać rannych. My, w pierwszej bitwie rozgorączkowani, strzelamy trochę bezładnie. auto pancerne rozpoczyna ogień z karabinu maszynowego i z wolna posuwa się w stronę lasu. Amunicja zaczyna się nam wyczerpywać.

Rozkaz - odwrót. Edmund Jędruszcak zamiast do lasu, cofał się rowem szosowym. Dostał kulę pod obojczyk. Na szczęście mógł jeszcze uciekać. Słyszeliśmy za sobą krzyk Niemców, którzy zaatakowali las na bagnety, gdy nasze ostrzeliwanie stawało się coraz słabsze. Prawe skrzydło wycofało się przez Wygnankę, lecz otoczone bagnami miało odwrót niesłuchanie ciężki. Przygnębieni wracaliśmy do Kąkolewnicy. Auto pancerne niemieckie przejechało las, lecz zawróciło. Kąkolewnica na razie była uratowana.

W Kąkolewnicy popłoch. Już znów zaczynają rozkradać magazyny. Zabieramy ранnego Jędruszcaka i wycofujemy się do Radzyna, który również oczekuje napadu Niemców. Na drugi dzień oddział z Pytlem wyrusza pod Grabowiec i niszczy most na szosie, aby utrudnić dostęp Niemcom do Radzyna.

Rzeka Krzna była jeszcze długi czas granicą między nami, a Niemcami. Trudno coś konkretnego powiedzieć, ale kto wie, czy ten drobny stosunkowo opór po Rzeczycę nie uczynił Niemców skłonniejszymi, do obrania powrotu dla swej armii z Ukrainy i zza Brześcia nie wprost, ale drogą okólną przez Grodno i Prusy Wschodnie.

Parę tygodni byliśmy skoszarowani w Radzynie, gdzie było około 500 ludzi, aż znudzeni ciągłymi swarami namówiłem 350 chłopów, wzięliśmy w Bedlnie pociąg i dostaliśmy się do 4 pułku Legionów. Okres POW się skończył. Zostałem żołnierzem.

Dziś czuję się też żołnierzem choć w cywilu i ciągle chcę robić tylko to, co chce Komendant.

Pan Mazur skończył. Za jego zgodą podajemy to co usłyszeliśmy, a co świadczy o olbrzymim wpływie Marszałka Piłsudskiego na młodzież i na wieś kiedyś i dziś.¹

¹ . A. Mazur, Opowiadanie peowiaka z Kąkolewnicy, Gazeta Radzyńska nr 5 z dnia 19 marca 1935 roku, str. 7-11.